

KAROL PIEGZA

ECHA SPOD HAŁDY



P

K

SEKCJA LITERACKO ARTYSTYCZNA
I KLUB NAUCZ-EMER-PRZY ŻG-PZKO
1975



KAROL PIEGZA

ECHA SPOD HAŁDY



KP

51A
KLUB NAUCZYCIELI EMERYTÓW PRZY ZG
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULT. OŚWIAT. W ČSSR

Y. Piegza

AMC
Y410H 4092



KN III 14163

KN 14163

612

K 107195
2100

Słowo wstępne

W ubiegłym roku kilkudziesięciu bibliofilów i miłośników regionu zdobyło różnymi drogami powielany druczek - "prywatne" wydawnictwo Karola PIEGZY "ECHA SPOD KOZUBOWEJ" /wyd. własnym sumptem pod auspicjami Klubu Nauczycieli-Emerytów przy ZG PZKO/. Autor poświęcił "Echa..." pamięci insp. Władysława Wójcika, a na publikację złożyło się 12 wierszy gwarowych bliskich pieśni ludowej. Tematem jest góralśka bieda, zbójnicy, przede wszystkim zaś góry i górale ze swoimi typowymi losami; świat, który stał się drugą miłością malarza, literata i etnografa, poetycki "margines" jego wielkich pasji.

Karol Piegza byłby mocno nieswój bez swojej pierwszej miłości, którą było i pozostało dla niego Zagłębie. Wracając pamięcią dotarł z powrotem do swoich lat najwcześniejszych, do biednych dzieci górniczych zdobywających grosze i wiedzę życiową na kopalnianych hałdach. Zebrał podobne jak wspomniane już wyżej wiersze traktujące o nieletnich o p u c z o r z a c h, o życiu kopalni~~g~~ górniczych sprzed przeszło 60 lat. Przedstawił wiernie świat tak już odległy dla współczesnych pokoleń, że prawie egzotyczny: i w etnograficznym wspomnieniu, i w jędrnych strofach gwarowych.

Wartość poetycka utworów Piegzy nie jest równa; ale też nieporozumieniem byłoby mierzyć je kryteriami obowiązującymi gdzie indziej. "ECHA SPOD HAŁDY", to typowa poezja ludowa kierująca się nieco innymi kategoriami niż literatura tzw. edukowana, to wreszcie fakt etnograficzny i swoisty dokument społeczny. I przyznajmy - razem z "Echami spod Kozubowej" - pozycja w naszej twórczości literackiej właściwie pierwsza i oryginalna, odznaczająca się nierzadko auten-

tyczną urodą poetycką jak w strofie:

Rozbuczała się Strzybnioczka,
Hańrych ji pomógł,
Gabriela głośno wyła,
Johan pobekował ...

SLA przy ZG PZKO wita podobną inicjatywę twórczą - nawet tą formą powielanego druku wzbogacającą problematykę literacką środowiska .

22.1.1975

Władysław Sikora

Od autora

Im człowiek dalej posuwa się w latach a jego głowę zaczyna pokrywać siwizna, tym częściej przypomina sobie swoją młodość. I dziwne, że nawet te najsmutniejsze chwile owych czasów nie wyglądają po latach tak groźne jak wtedy, gdy się je na gorąco przeżywało. Osiadła bowiem na nich jakaś łagodząca mgiełka.

Dochodzimy zatem do wniosku, że urok młodości jest niezależny od wygód i dostatku materialnego. Nawet uboga młodość, przeżywana w biedzie i niedostatku, może być ładna, o ile tętni życiem, o ile bierze pełny udział w tym wszystkim, co się koło nas dzieje. Przeżycia z młodości powinny być niejako skarbnicą, z której czerpać będziemy przez całe życie.

Jak wielu ludzi, miałem i ja ciekawą młodość. Urodziłem się w kolonii górniczej i chociaż moi rodzice po kilku latach wybudowali sobie mały domek i tam się przeprowadzili, w moim życiu nie doszło do poważniejszej zmiany, ponieważ domek stał tuż obok kolonii, a ja większą część dnia tam spędziłem⁹. Stara kolonia przyrosła mi do serca i później przez całe życie czułem do niej dziwny sentyment. Jej widok zawsze odnawiał we mnie wspomnienia z niepowracalnej już młodości.

W kolonii miałem najlepszych i najwierniejszych kolegów. Z nimi chodziłem do szkoły, z nimi się bawiłem i z nimi też urządzałem pierwsze psoty. Boiskiem dla nas była ulica w kolonii. Tam bawiliśmy się pod dozorem rodziców lub starszego rodzeństwa. Dopiero kiedy awansowaliśmy na pasterzy gęsi, czy później kóz, mogliśmy

oddalać się od domu, aby pod hałdą popasać te żywicielki rodziny.

Hałda wzbudzała nasze zaciekawienie - zawsze było tam pełno ludzi i zawsze się tam coś ciekawego działo. Gęsi i kozy pasły się wolno na nieużytkach koło hałdy, a my pasterze mieliśmy tyle wolnego czasu na różne zabawy i psikusy.

Do ulubionych gier należała "lajda" /łapanka/, "skrywaczka", gra na szandarów i złodziei, gra w guziki, noże, kuliczki, "kiczkerle", strzelanie z klucza, "szlajdry", rzucanie kamieniami do celu itp. Dziewczęta zaś kręciły się niezmordowanie w kółko, bawiąc się w "koło, koło młyński", na "czympiączke" lub "moja Julianko, klękni na kolanko".

Jesienią wielką atrakcją było palenie ognisk i pieczenie ziemniaków. Jeszcze dziś, po sześćdziesięciu kilku latach, czuję w ustach wyśmienity smak owych "pieczoków". Na hałdzie też próbowaliśmy palenia papierosów. Ze wstydem muszę dziś przyznać, że te pierwsze indiańskie próby kończyły się dla naszych żołądków dosyć niesławnie.

Przy tych wszystkich zabawach zapominało się nieraz na gęsi i kozy, które przed zbliżającą się nocą same wracały do domu. Na niedbałych pasterzy czekała w domu "wypłata", a niekiedy i utrata kolacji.

Zupełnie inaczej wyglądało życie na naszej hałdzie. Tu już wrzała praca poważna, tu trzeba było walczyć o każdy kawałek węgla. Zbierała go na hałdzie nie tylko młodzież należąca jeszcze do szkoły, ale i ludzie starzy, przeważnie emeryci, którzy w ten sposób dorabiali sobie do skromnej emerytury, by jakoś wyżyć. W latach kryzysu i bezrobocia można było spotkać na hałdzie i ludzi zdrowych

w najlepszym wieku, których kryzys gospodarczy wyrzucił z kopalni i zdegradował do roli bezrobotnych opuczorzy.

Tutaj na wierzchu hałdy i na jej zboczach śniech rozlegał się rzadko. Zaśmiał się najwyżej ktoś z najmłodszych. Starsi - zniechęceni i zgorzkniali - milczeli, albo też o byle głupstwo wybuchali gniewem i sypali przekleństwami nie oglądając się na obecność dzieci, które z czasem traciły dla nich szacunek. To ubóstwo i twarde życie nie pozwoliły na delikatność. Cała uwaga tych ludzi skierowana była na to, by nazbierać jak najwięcej węgla, a tym samym zdobyć większy kawałek chleba.

Na hałdzie dochodziło czasem do nieszczęśliwych wypadków, okaleczeń a nawet śmierci. Staczające się po zboczu hałby kamienie zmieniały nagle swój kierunek i wpadały między opuczorzy. Następstwem były złamanie nóg, żeber, kręgosłupa, pęknięcia czaszki itp.

Jeszcze gorzej było, gdy nieostrożnemu robotnikowi uciekł z "rympoła" pełny wózek kamienia i zaczął w podskokach staczać się w dół aż pod hałdę. Bieda temu, kto w porę nie uskoczył i nie uwolnił drogi. Takiego wóz zabijał na miejscu, albo też ciężko kaleczył.

Zaś o tragediach odbywających się pod ziemią dowiadywali się opuczorze z pokrwawionych kamieni wysypywanych na hałdę. Czasem też na ścianie wózka można było odczytać kredą napisany krótki nekrolog:

W Igorze zabiło Francka Bałona z Błędowic !

Albo też : Zasypało Jozefa Nowoka i Rude Rozbroja z Liberdówki.

Po przeczytaniu takiej smutnej wiadomości na chwilę przerywano pracę i komentowano wypadek. Znaleźli się tacy, którzy nieszczęśliwego znali, czy też niegdyś z nim pracowali. Jednak na długie

rozpatrywanie nieszczęścia brakło czasu. Po chwili nadjeżdżał nowy wózek i było trzeba dobrze uważać, w którym kamieniu zaświeci grubszą warstewką węgla. Należało go złapać, gdy jeszcze staczał się w dół po zboczu hałdy, inaczej stawał się zdobyczą kogoś zarabniejszego. Potem następowała czynność najważniejsza. Młotkiem oddzielano warstwę węgla od kamienia i wrzucano do dzichty.

Zdarzało się też, że z wózka wysypano całe kawałki czystego węgla. Widocznie w którejś ścianie "dobrze sypało" i nie zależało na kilku kawałkach węgla. Był to dla opuczorzy szczęśliwy dzień !

Węgiel nazbierany do dzichty znosili opuczorze pod hałdę i tam wsypywali do przygotowanych wózków ręcznych, lub wprost w dzichtach przynosili do domu, czy też po drodze sprzedawali w pobliskich sklepach i gospodach. Węgiel mierzono i sprzedawano na kosze. Zarobek był bardzo skromny, chociaż praca była ^{niełatwa} bardzo ciężka, zwłaszcza w czasie niepogody.

W zimie hałdy zasypał śnieg, trudno było rozróżnić kawałek węgla od kamienia i było trzeba gołymi rękami grzebać w hałdzie. Przemoczone albo też zmarznięte rękawice jeszcze przeszkadzały w pracy. Nikt się nie dziwił, jeżeli któryś z młodszych w głos się rozpłakał, bo na odkrytej hałdzie zimno o wiele więcej dokuczało aniżeli pod hałdą, zaś ubrania i buty opuczorzy podszyte były wiatrem. Mroź przenikał do kości a posilić się można było tylko kawałkiem suchego chleba. Mnożyły się więc zapalenia, nie dostrzegane w początkach, gdyż nie było czasu myśleć o takich błahych rzeczach jak kaszel, gorączka, ból głowy itp. Ważny był zarobek! Zresztą straty dziecka w licznej rodzinie nie uważano wtenczas za jakieś wielkie nieszczęście. Było o jedną gębę w domu mniej !

Takie to były wtenczas czasy. Górnicze dzieci więcej przebywały na hałdzie aniżeli w szkole! Ogólnie uważano, że dla robotnika nauka jest niepotrzebna !

Kiedy dzisiaj, po przeszło sześćdziesięciu latach, wspominam o tym, co działo się wtenczas na hałdach czy też pod hałdami, to coraz wyraźniej widzę, jaka to ogromna niesprawiedliwość społeczna okradała górnicze dzieci o wszystko piękne - o naukę, o zdrowie, o radość z przeżywanej młodości, a przede wszystkim o godność człowieka.

I właśnie tym dzieciom - dawnym opuczorzom, o których już dzisiaj nikt nie wspomina - poświęcam tych kilka hawirskich wierszy, twardych, jak ta dłoń górnicza, a szarych i ostrych, jak ten kamień leżący na łaziańskiej hałdzie !

Jabłonków, 1974

B Y Ł O R A N O

Było rano taki smutne,
Że sie płakać chciało,
Mokrym śniegym od północy
Całą noc chlapało!

Pluta była, że aż hruza,
Spod butów strzikało,
Rozszłapanie zimne błoto
Po miedzach leżało!

A w tym błocie zababranym
Waglym i sadzami,
Szeł se synek taki mały
Na hołde polami!

Dzichetke^{1/} miół zawiązaną
Na karku przy brodzie,
- Zle ci, synku, źle na polu
Iść przy takim mrozie !

- Lepszy żeś mógł dóna siedzieć,
Abo spać na pryczy,
Dyć cie wiać na tej hołdzie
Do dziury zasnyczy!

Ale synek nie posłuchał,
Jyny dali kroczoł,
Coby mama powiedziała,
Gdyby sie rozbeczoł!

Szeł pónału, do rąk chuchał,
Straszno zima była,
Dyć po strómach i w kóminach
Meluzyna wyła !

Ręce styrczył do rękowów,
Bo wydzieżeć ni mógł,
Stare buty po tatowi
Spadowały mu z nóg !

I tak ciapkoł sie w tym błocie
W tej rozmokłej glinie,
By mógł kupić swoji мамie
Chleba na wilije !

Dyć już jutro jest wilija,
Każdy się raduje,
A tu doma ni ma co jeść,
Mama popłakuje !

Taty ni mo, bo przed rokym,
Na Strzibnioczce^{2/} zóstoł,
Kupa biydy, poniewyrki,
Od złych ludzi wystoł !

I tak doszeł pómalutku,
Aż ku samej hołdzie,
Schynyl dzichte, wagli zbiyroł,
Zapómnioł o głodzie !

Już nazbiyroł poł dzichetki
I mioł radość z tego,
Ze prziniesie mamie du dóm
Chlebiczka biołego !

Ale borok z tej radości
Nie prawie nie słyszol,
Ze na niego stary hawyrz
Z wyrchu strasznie krziczol !

-Skryj się synku! Skocz za kamiń !
Widzisz - wózek leci !
Połóme ci ręce, nogi,
Z głowy mózg wyleci !

Ale synek nie słyszol,
Myśloł o wiliji,
Spod na niego woz z kamiyniym,
Zabił w jednej chwili !

Leży synek na dzichetce,
Nie dycho, nie żyje,
Nie prziniesie swoji matce,
Chleba na wilije !

W K A R W I N E J B Y Ł H A W I Y R Z

W Karwinej był hawiy rz,
Wczas poszeł do grobu,
Niechoł swoi babie
Dzieci pełno drobiu.

Jo ~~z~~ nich był niejstarszy,
Na ~~to~~ łde żech chodził,
Po dómach na sprzedój
Czarne wagli wozik.

Ni mioł żech koszule,
Ni mioł swoich butów,
Ni miała mi matka
Za co kupić szrutów !

Budziła mie rano,
Dała kasek chleba,
Zbiyrej synku wagli,
Bo piniyndzy trzeba.

Ojca ci zabiło,
Ni mo cie kto chować,
Weź dzichte na pleca,
A ucz sie harować !

A jak już wyrośniesz,
Ściep ze siebie dzichte,
Weź perlik^{3/} do ręki,
Zapłóć panóm krziwde !

O P U C Z O R Z E

Na pański hołdzie
Kamiyni bodzie
Nogi i ręce !
Zbiyrać go trzeba,
Ni mómy chleba
Żyjmy w męce !

Dzichta dziurawo,
Noga bolawo,
W głowie sie toczy !
Głód nas przicisko,
Śmierć tako blisko
Zaglądo w oczy !

W deszczu moknyny,
W śniegu narznyny
Do samej nocy !
Dlo biydnych dzieci
Słońce nie świyci,
Ni ma pomocy !

Proch nas oślepił,
Serce zalepił
Straszną lutością !
Uniyrać trzeba
Za kasek chleba
W sercu z żałością !

Na hołdzie spimy,
Na hołdzie mrzyny,
Gdo nam pomoże ?
Śmiychu nie znómy,
Świat przeklinómy,
My, o p u c z o r z e !

B E Z R O B O T N Y

Noc to była strasznie ciymno,
Ze psy nie szczekały,
Na stawiskach i po hołdach
Duchy wandrowały !

Kolóniją wiater gónił,
Przeraźliwie kwiczoł,
Płoty łómoł i przewracał,
Po piwnicach jęczoł !

Zaplątoł sie u wędzoka^{4/},
Kóminym zahórdoł,
Kole szopek potańcowoł
I kęs chlywka urwoł !

Potym zaczón sie przewracać
Po całej ulicy,
Wyrwoł z płotu starą furtkę
I kęs kalenicy !

Sumeryja sie robiła,
Ze aż hruza było,
W kolóniji popođ hołdą
Głodne psisko wyło !

Ludzie w łózkach sie żegnali,
Głowy pochowali,
- Obiesić se ktosik musioł -
Tak se powiadali !

A naprowde o północy,
Pod hołdą na drzewie
Obiesił se bezrobotny,
Co myśłoł o chlebie !

P I Y R S Z Y M A J

Posypały sie cestami,
Chodniczkami i miedzami,
Wielki kupy ludzi głodnych,
Od roboty jeszcze czornych !

Szli se śniało - rozprowiali,
Potym se zaś zaśpiywali,
O sztandarze, o czerwonym,
Co wypłynie ponad tróny !

Starzy krziwoki ściskali,
Młodzi pod nosym gwizdali,
Kłobuki se poprawiali,
I odwagi dodowali !

Dyć panowie ich tak duszą,
Dziesięć godzin robić muszą,
Wyżyć nielza z tej wypłaty,
Ani kupić se galaty !

Dziecka z głodu umiyrają,
Na hołdach węgli zbiyrają,
Zamiast książki z dzichtą chodzą,
I od młodu sie już głodzą !

A ci starzy też tak biydni,
Całe życie kopią węgli,
Od roboty sie zginają,
O chlyb do Wiydnia wołają !

Ale Widyń je daleko,
A niebo strasznie wysoko,
Nie skyszą tam ich wołanio
I głośnego narzykanio.

Dzisiaj słońce wyświyciło,
Pierwszy Maja im głosiko,
Do Orłowej szli świętować,
Więcej chleba się domagać.

Na rynku się ustawili,
Mówcy mówić już zaczęli,
W tym szandarzy salwe dali,
Szturzo martwi na ziemi padli !

Skńczyło się święntowani,
Zamiast chleba śmierć dostali,
I wracali zaś cestami,
Z ciężkim sercem i ze łzami !

ROZBROJCZYN LOJZEK

Było rano, a deszcz padoł,
Z nieba tak ślónpiało,
Że sie ani psu przy budzie
Na pole nie chciało.

Obudziła sie Rozbrojka,
Świczke zapoliła,
A na blasze w czornym garcu
Kawy uwarziła.

Zawołała syna Lojzka,
Co tam społ na pryczy:
- Stowej synku - stowej, nie leż,
Dyć już Gutman krziczy !

Czy nie słyszysz, jak sie gnियोwo,
Że ty jeszcze leżysz,
Strasznie pisko na Hopszachcie,^{5/}
A ty o tym nie wiysz !

Skoczył Lojzek, oczy przetrzył,
Galaty naciągnął,
Kabot oblyk, czopke porwoł,
Czornej kawy łyknył.

Potym mame pocałowoł
I do dwyrzy skoczył,
Upalowoł ku Hopszachcie,
Aż sie cały spocił !

Z okna mama mu kiwała
Z lutości płakała,
Hopszachta ji zjadła chłopa,
Syna dać nie chciała.

I czekała go z obiadem,
Aż do dwiyrzy wlezie,
- Siodej synku, siodej za stół,
Mama obiod niesie !

Potym w kącie se siodała,
Wielką radość miała,
Że bulczónka Lojzickowi,
Dzisiaj szmakowała !

A tak żyli se spokojnie
Na tym pańskim chlebie,
Mama wdowa a syn hawiyrz,
W Gutmanowym chlywie !

Aż roz w nocy, jak czekała,
Swojego syneczka,
Prziwiozły ji pański kónie
Morwego Lojzeczka !

NA MIZAMIE W KOLONIJI

Na Mizamie w kolóniji

Mieszkoł se roz na pyndzyji

Francek Rympoł, hawiy rz stary,

Od roboty krziwy, słaby.

Dziecka se mu požyniły,

Na starość go opuściły,

Jyny baba mu została,

Co sie Malka nazywała.

Mieli koze i dwie kury,

W szopce wąglo na pół fury,

Grządke małą na pietruszke

A przy furtce suchą gruszkę.

Na szachte już nie chodzowoł,

Bo mu Roczyld pyndzyj dowoł,

Sztyry ryński papiyrowe

I komórke na wymowe.

Żył se Francek z babą Malką,

Klepoł biyde wszelijaką,

W lecie na hołde chodzowoł,

W zimie przy wincku^{6/} siodowoł.

Jak mu długo chwila była,

A fajfka go nie cieszyła,

Chodził ludzióm klepać młynki

Abo doma brusił piłki.

Na tabake se zarobił,

Żydóm wągli z hołdy wozil,

Wieczór przy furtce siodowoł

I z gipsówki^{7/} pokurzowoł.

Strasznie go rowna łomało,

Ręce, nogi wykręcało,

W nocy w łóżku leżeć nie szło,

- Trop sie, Francku, duszo grzyszno !



Jego baba też stękała,
Do roboty sił ni miała,
Po nocach ciężko kaszlała,
I na płuca narzykała.

Smutne życi na pyndzyji,
Jak sie mieszko w kolóniji,
Na wyżyci nie starczyło,
Na umrzyci zaś nadbyło.

I tak wlykło sie to życi,
Jako z kłębka ciynki nici,
Ze dnia na dziyń, z roku na rok,
- Umrzyj Francku, dyć żeś borok !

Ale, że tak wszędzy było,
Żodnego to nie dziwiło,
Szkoda wołać diabli mocy,
Kiedy ni ma już pomocy.

Chudobnego pan nie słyszy,
Bo mo strasznie głuche uszy,
Kiedy widzi, że umiYRO,
Hónym ręce se uciyro.

Francek Rympoł nie narzykoł,
Wągli z hołdy dali smykoł,
I tak brónił sie tej biydzie,
Czakoł, jaki kóniec przidzie.

Aż roz rano na wilije,
Dostoł pismo z dyrekcje,
Że go Roczyld wyciepuje,
Kwartyr hónym potrzebuje.

Zblednół Francek - zahrómowoł,
Tego zech sie nie nazdowoł,
Że nie Roczyld tak wykiwie
I to jeszcze na wilije.

Trzicet roków zech harowoł,
Trzicet roków nie dojodoł,
Roczyldowi wągiel kopoł,
Taką zech zapłate dostoł.

Ale niech sie nie raduje,
Mi już życie nie zatrąje,
O dziwnych rychli, dziwnych nieskorzy,
Mi już na tym nie zoleży !

Potym szerkę^{8/} se zrychtował,
Kozie żrani nagotował,
Wąglo ku blasze nanosił,
I na górze się obiesił !

ROZGNIYWAŁA SIĘ LYNORA

Rozgniywała się Lynora^{9/}
Na starą Zofiję,^{10/}
Że jej w nocy węgla kradnie,
Hawiryżi bantuje !

Powiedziała to Hopszachcie,
Aż jej nic nie wierzi,
Gutmanowi nadziyrżuje
A źle węgla mierzi !

Zofija się dowiedziała,
Wielki krzyk zrobiła,
I Lynorze przed wszystkimi
Po gębie nabiła !

- Tu masz za to cyganiyni,
Ty hrómsko plotkoro,
Jeszcze się roz coś dowiym,
Bydzie f^aćcek sporo !

Potym głośno zapiskała,
Kołami ruszyła,
Szoła na dół pospuszczała,
Fiedrować zaczyna !

ROZHUCZAŁA SIE STRZYBNIOCZKA

Rozhuczała sie Strzybnioczka,
Hańrych^{11/} ji pómogoł,
Gabriela^{12/} głośno wyła,
Johan^{13/} pobekowoł.

I huczały po Karwinie,
Wszycki piszczki naroz :
- Stowej z prycze, ty otroku.
Słyszysz! - - Stowej zaroz !

Trzeba ci iść do roboty,
Na panów zarobić,
Aby se zaś mógli jutro
W kolasach powozić !

W kolasach i land^aeurach^{14/}
Pieknje paradować,
Jak ty bydziesz za pół darmo
Pod ziymią harować !

A jak kaniyń taki ciężki
Spadnie ci na głowe,
Nic se z tego nie rób, chłopie,
Pochowióm cie w grobie.

A pochowióm tak głęboko,
Abyś tam cicho społ,
Jak sie bydzie w wekshotelu,^{15/}
Po stołach szampan loł !

CHYLIŁO SIE KU WIECZORU

Chyliło sie ku wieczoru,
Kiej po rannej szychcie,
Szli hawiyrze utropiõni
Cestą ku Wewiõrce^{16/}!

Kroczeni se pónalutku,
Každy krziwok w ręce,
Fajfka dymym głód zaganio,
Nogi wiater płace.

Zaś na zadku sie barbylo^{17/}
Czorny flek ze skóry,
Na ramiyniu po dwa gnotki,^{18/}
W kapsach same dziury.

Ci nejstarsi nie kurzili,
Na śliwke se dali,
Oczyskani przewracali,
Na boki strzikali.

A fusiska mieli straszne,
Czarne jak to wagli,
Starą babe uwidzieli,
Wszycy na bok spluwli.

Stawili sie na Wewiõrce,
Za stołym siednyli,
Po achtliku^{19/} na chroboka
Hnetka se wypili.

Potym jodła sie chycili,
Twarużki^{20/} se dali,
Suchym chlebym przegryzali,
A kwitym płókali.

A jak było trzeba płacić,
Strasznie posmutnieli,
Bo jak dycki przed wypłatą
Grejcara ni mieli.

Ale hnet sie spamiętali,
Fusy pokręcili,
- Nie bój sie ty o nas, żydzie,
Dyć ci zapłacimy !

W sobote nas Gutman płaci,
Bydóm zaś grejcarki.
Nalyj, żydzie, jeszcze jedną,
Aż nóm nie schną karki !

HAWIYRSKI HOŁDY

Hawiyrski wy hołdy,
•Smutne wy kopieczki,
Nie rosły tam nigdy
Na wiosne kwioteczki !

Nie rosły kwioteczki,
Bo ni miały z czego,
Nie wyrośnie żywot
Z kamiynio mortwego !

Z kamiynio mortwego
Wyrwanego z ziemi
W pocie i krwawicy
Rękami ludzkimi !

Downi po tych hołdach,
Dzieci sie wspinały,
I zamiast sie uczyć,
Opuke zbiyrały !

Zbiyrały opuke,
Do dzichty ciepały,
Pod ciężkim brzyniynym
Pleca uginały !

Pleca uginały
I zdziyrały ręce,
Żyli opuczorze
W wielki poniewyrce !

Zmiyniły sie czasy,
Ucichło na hołdach,
Uczą sie już dzieci
W pieknych, nowych szkołach !

O b j a ś n i e n i a

- 1/ dzichetka /dzichta/ - duża chusta, w której noszono węgiel
 - 2/ Strzybnioczka - dzisiejszy szyb *1. Maja*
 - 3/ perlik - młot
 - 4/ wędzok - w koloniach górniczych były małe budynki, w których umieszczone były piekarszczoki i wędzoki do wędzenia mięsa
 - 5/ Hopszachta - Szyb Główny w Orłowej
 - 6/ wincek - mały, żelazny piecyk
 - 7/ gipsówka - tania fajka gipsowa
 - 8/ szerka - płócienne pasy zakładane na ramiona, na których zawieszano ciężkie taczki z węglem
 - 9/ Lynora - dawny szyb Eleonora w Dąbrowej / dziś szyb Dąbrowa/
 - 10/ Zofija - dawny szyb Zofii
 - 11/ Hańrych - dawny szyb Henryka
 - 12/ Gabriela - dawny szyb Gabrieli
 - 13/ Johan - dawny szyb Jana
 - 14/ landaur - paradny, kryty powóz
 - 15/ werkshotel - hotel gwarectwa w Karwinie
 - 16/ Wewiórka - stara gospoda w Łazach
 - 17/ flek - skórzany fartuch ochronny noszony w tyle przez górników
 - 18/ gnotki - krótkie / do 25 cm długie/ kawałki okrągłego drzewa, które górnicy mogli zabierać do domu
 - 19/ achtlik - 1/8 litra wódki czyli "kwitu"
 - 20/ twarużki - kwargle
- Igor - nazwa pokładu węgla
Liberdówka - kolonia górnicza w Łazach

S P I S T R E Ś C I

Słowo wstępne

Od autora

Było rano

W Karwinej był hawiyrz

Opuczorze

Bezrobotny

Piyrszy Maj

Rozbrojczyn Lojzek

Na Mizanie w kolóniji

Rozgniywała sie Lynora

Rozbuczała sie Strzybnioczka

Chyliło sie ku wieczoru

Hawiyrski hołdy

Objaśnienia





Książnica Cieszyńska

KN III 14163

B/cu/3-112